Lwów, 3. Października. Nr 118. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr.— półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesięczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

XII.

(Ciąg dalszy).

Tak wyrozumowawszy sobie teraźniejszy stosunek swój do Adeli, przeszedł Kamil z kolei na Edmunda. I tutaj odmieniły się zaraz jego uczucia, i odmieniły się myśli. Jego serce napełniło się oburzeniem i gniewem, jego myśli się zachmurzyły, — odezwała się dawna niechęć przeciw przyjacielowi i zamieniła się w prawdziwą nienawiść.

— On! — zawołał do siebie gniewnemi usty Kamil, nie mogąc znaleść na prędce stósownego dla niego nazwiska, — on wszędzie i zawsze staje mi na drodze!...

I znowu tym kierunkiem zaczął puszczać swe myśli,— a jak dopiero co w jego sercu rozlewała się sama miłość i przebaczenie, tak teraz burzył się tam tylko gniew i gruntowała się dawna, sztucznie utworzona nienawiść. Na Edmunda więc powaliły się wszystkie winy całego świata, na niego przyczyny wszystkich nieszczęść, on był jego prześladowcą, tyranem, katem, który jeszcze teraz wyciągał swoją drapieżną rękę po najwyższe i jedyne szczęście jego całego życia.

Na takich myślach, które się kręciły w swoich ciasnych granicach jak w kole obłędnem, zeszedł mu prawie cały czas popołudniowy. Niebawem też zaczęło niebo szarzeć na zimowym zachodzie słońca, ujmując ziemi coraz więcej dziennego blasku. Ze zmrokiem zaczęło się robić jakoś dziwnie pochmurno i straszno w tym lesie, — i Kamil obudził się ze swego zamyślenia. Wraz ze zbudzeniem rospierzchnęły się wszystkie jego marzenia i nagle stanęło przed nim jego teraźniejsze położenie w całej swojej nagości i zgrozie. Na jego widok zatrząsł się przerażony młodzieniec i pomyślawszy chwilkę, puścił się wolnym krokiem dalej w tę dziwną podróż, której nie znał ni celu ni końca. Wszakże uszedłszy jakie kilka tysięcy kroków, spostrzegł, że droga jego wiedzie go w coraz głębsze i straszniejsze ostępy, za każdym krokiem bowiem spotykał drzewa coraz ogromniejsze i starsze, i coraz większą ilość owych pniów olbrzymich, które starością obalone na ziemię przeżyły całe swe życie kilko-wiekowe, niewidziane okiem człowieka. Widok ten, przy coraz bardziej zapadającym zmroku, jeszcze głębszą przejął go zgrozą i Kamil zatrzymał się chwilę, ażeby się dokładnie przypatrzyć lasowi i jego wagę odgadnąć. A kiedy tak się oglądał po lesie, nie umiejąc dobrze się z nim porozumieć, doszły uszu jego jakieś głosy dalekie. Głosy te wydały mu się z początku tylko jakimś pomięszanym, niezrozumiałym chaosem, tak jak gdyby gdzieś w jakimś jarze dalekim nagle się burza zerwała, lecąc na dół z szybkością i gwałtownością dzikiego żywiołu, łamiąc sobą gałęzie, jęcząc i świszcząc całym olbrzymim akordem owej dzikiej harmonii, którą Bóg włożył w usta niemej na pozór i nieruchomej naturze. Atoli pomału stawały się te głosy coraz wyraźniejszemi i przy ciągłem ich przybliżaniu się ku miejscu, w którem stał Kamil, nietrudno było w nich rozróżnić chrobot łamiących się gałęzi, tętent kopyt źwierzęcych i głosy ludzkie.

Każden obznajomiony z rodzajami łowów górskich byłby się natychmiast domyślił, że to polowanie z obławą, i Kamilowi także na myśl przyszła obława, ale nie przyszło mu na myśl polowanie. I zdawało mu się, że to obława uczyniona na niego. Jakoż w pierwszym momencie objął go strach wielko-oki, — ostateczna zaguba stanęła przed nim w postaci daleko straszliwszej, niż sama śmierć, bo w postaci długiego w lochach podziemnych konania, — i wstrząsł się w głębi duszy na taki widok nieszczęśliwy młodzieniec: atoli przy zbliżających się z coraz większą szybkością krokach tego nieszczęścia, zebrał się prędko i stanął w takiej postawie, w jaką może ułożyć człowieka tylko rezygnacya, ostateczną spowodowana rozpaczą.

Wszakże w tej chwili straszny chrobot łamiących się gałęzi i przerażający szum, jakby jakiejś ogromnej masy przedzierającej się gwałtem przez lasu gęstwinę, dał się słyszeć tuż koło niego. Kamil rzucił wystraszonemi oczyma w tę stronę i ku jeszcze większemu przerażeniu swojemu ujrzał ogromne stado świń dzikich, na którego czele z oczyma błyszczącemi piekielnie i z paszczą czerwoną na pół rozdziawioną, z której ogromne kły białe się wyjeżały straszliwie, pędził w skokach szalonych rozwścieklony pogonią odyniec. Na widok takiego dzikiego zastępu zachwiała się rezygnacya w Kamilu, zrobiło mu się ciemno w oczach, przytomność go odstąpiła a strach go prawie całkiem z nóg zwalił i rzucił go do stóp tego drzewa, pod którem stojąc, ujrzał to straszne widowisko.

Tymczasem uciekające i nie znajdujące nigdzie przed sobą oporu stado przeleciało z dzikim szumem i stugło-

śną harmonijną psiarnią gdzieś ponad nim, czy koło niego, potem jeszcze przez długą chwilę przelatywały jakieś ludzkie głosy i tententy, aż nareszcie jakiś szum i huk głośny dał się słyszeć tuż blisko niego i zdawało mu się, jak gdyby się coś zatrzymało tuż nad nim. Klęczący na jednem kolanie i jak gdyby przylepiony do stóp drzewa młodzieniec podniósł oczy do góry i ujrzał stojącego nad sobą jeźdzca na koniu.

Jeździec spojrzawszy na niego, wydał jakiś krzyk niezrozumiały ze siebie i natychmiast zeskoczył z konia na ziemię. — Kamil spojrzał w twarz jego, zdumiał się i poznawszy w nim swego przyjaciela Edmunda, z nieutajoną niechęcią oczy odwrócił od niego.

Ale Edmund wcale nie zważał na to, tylko ochłonąwszy z wrażenia, jakie na nim to niespodziewane zdybanie sprawiło, zarzucił go od razu mnóstwem zapytań, wynurzając przytem z serdeczną otwartością swą radość z tego, że nie komu innemu, tylko jemu szczęśliwy traf podał sposobność ratowania go z tego nowego nieszczęścia.

Wynurzenie tego prawdziwie braterskiego uczucia, potwierdzającego się natychmiast uczynkiem, nie tylko Kamila nie przejęło wzajemnością, ale zdaje się, że musiało sprawić mu przykrość, bo głowa jego opadła jeszcze niżej ku ziemi a na twarzy odrysowało się jakieś dziwnie niesmaczne skrzywienie.

Wszakże i to jeszcze nie zwróciło na siebie uwagi Edmunda, albowiem dowiedziawszy się w krótkich słowach o tych wypadkach dnia wczorajszego, których ofiarą i świadkiem był jego przyjaciel, z tą samą serdecznością jak przedtem, ofiarował mu natychmiast wszelką pomoc i usługę z swej strony i kazawszy podjechać sankom, które stały opodal pod brzegiem lasu, zabrał go z sobą do domu.

Przez drogę opowiedział on swemu przyjacielowi, że jeszcze przed świtem wybrał się na te łowy i że mimo swej woli zapędził się tak daleko od domu, że te lasy, po pod które jadą w tej chwili, nie należą do niego, tylko do jego sąsiada, który go swemi ziemiami odgranicza z tej strony od dóbr swojego; że łowy dzisiejsze wcale mu się nie udały a to z winy tych ludzi, którzy obchodzili stado i dali się uwieść przedkilkodniowym tropom — ale że ani myśli o nieudaniu się łowów, kiedy mu to nieudanie się właśnie nastręczyło sposobność zdybania się z ukochanym przyjacielem i przyniesienia mu pomocy w tej właśnie chwili, kiedy najbardziej jej potrzebował.

Kamil słuchał tego wszystkiego milcząc i nie patrząc nawet na opowiadającego, ale pomimo to Edmund opowiadał dalej to wszystko, co tylko mogło obchodzić jego przyjaciela i czynił to z takim humorem i staranną o wykład pilnością, że nie można było odgadnąć, czy opowiadanie to było w tej chwili potrzebą jego serca, czy wyrozumowanym obowiąskiem, rozerwanie nieszczęśliwego słuchacza na celu mającym.

Po godzinie tak ożywionej jazdy, kozak powożący z kozła czwórką rączych biegunów, skręcił za pagórkiem nagle na prawo i jeszcze bardziej wyciągniętym kłusem wypuścił konie ku jakiejś wielkiej grupie obszernych zabudowań, pomimo zmroku szarzejących dosyć jeszcze wyraźnie na białem tle śniegu i błyszczących kilkoma światłami w różnej wielkości oknach.

— Otóż to jest moja siedziba! — zawołał Edmund, wskazując ręką na owe budynki.

Kamil rzucił okiem w tę stronę, ale nie mógł nic dojrzeć dokładnie. Widać bowiem było tylko jakieś zabudowanie ogromne, piątrowe, z różnemi gankami i wystawami, które raczej wyglądało na ruinę jakiegoś starego pałacu, niżeli na dwór szlachecki lub pański. O kilkanaście kroków od tej budowy stało coś niby nakształt wieży albo jakiegoś staroświeckiego lamusa, po drugiej stronie widać było długą oficynę, całym frontem opartą na kolumnach a dalej czerniały jakieś inne domostwa, które schowane w zmroku i w cieniu drzew starych ogromnych, jeszcze mniej były wyraźne.

Jakkolwiek pałac sam zdawał się tak bardzo do ruiny podobnym, przed nim jednak a nie gdzie indziej zatrzymały się sanie. Wyskoczył też z nich natychmiast Edmund i wiodąc swojego gościa przez ogromną na kamiennej kolumnadzie opartą i marmurem wyłożoną wystawę, potem przez również ogromną sień, która zdawała się zajmować cały środek pałacu, była wysoką przez całe pierwsze piętro i do której światło dzienne wpadało przez szklanną, nad środkiem sklepienia zawieszoną rotundę, — wprowadził go do ogromnej komnaty, która jakkolwiek o całe piętro niższa od sieni, jednak obszernością swoją, sklepieniem, wysokiemi a wąskiemi oknami i zgoła całym swoim przyborem odpowiadała wiernie wrażeniu, jakie na każdym przychodniu czyniła ta cała staroświecka i zapewne wspaniała niegdyś a teraz głucha i spustoszona siedziba

W komnacie tej gorzał żywy ogień na wielkim marmurowym kominie, przy nim po jednej stronie stał stary sługa w starą i wytartą liberyę ubrany, po drugiej siedział na sofce skórzanej jakiś już równie niemłody lecz kapotowy, szpakowaty i cokolwiek otyły jegomość, któren miał ręce nieruchomie założone przed sobą, ale w nich trzymał list wielki, czarną spojony pieczęcią. Obadwa ci ludzi zdawali się być żwawą rozmową zajęci, lecz słysząc drzwi otwierające się nagle, przerwali ją i stanęli zwróceni ku przychodzącym.

— A! jak to dobrze mój Burka, — zawołał Edmund przystępując prędkim krokiem do kapotowego, — że cię tutaj znajduję. Każ-że nam zaraz przynosić obiad i dopilnuj, żeby się z tem nie guzdrali.

Burka kiwnął na sługę, ażeby go w wypełnieniu tego roskazu wyręczył a sam rzekł natomiast:

— Obiad panie gotowy i zaraz wazę przyniosą; ale mamy tu smutną nowinę.

— Cóż-to?... cóż-to za list trzymasz w rękach? — zapytał Edmund, zastanawiając się cokolwiek na wiadomość o smutnej nowinie.

— Smutna panie nowina, — rzekł Burka, oddając list Edmudowi, — pan jenerał panie...

— No cóż pan jenerał?

— Skończył panie dnia wczorajszego o samym zmroku... uderzyła go apoplexya....

— Jenerał umarł! — krzyknął przerażony Edmund,— Kamilu! słyszysz? cóż to jest takiego....

— Ja go zostawiłem zdrowego, — odpowiedział na to pół-głosem Kamil, mieszając się także tą wiadomością.

Tymczasem Burka zapalił prędko świecę i postawił ją na stole a Edmund, rozerwawszy z niecierpliwością pieczątkę listu, przebiegł z szybkością błyskawicy trzy stronnic wielkiego pisma, które kreśliła ręka męska, zapewne któregoś ze sług jeneralskich.

A! — zawołał Edmund, rzucając list na stół, i chwytając się ręką za czoło, tego-bym się był nigdy nie spodziewał.

I tak stał zamyślony przez chwilę, poczem porwał Kamila, wpatrującego się w jego twarz z wielką uwagą, pod ramię i wyprowadził go w kąt odległy komnaty, mówiąc do niego półgłosem:

— Wyobraź sobie, hrabia oparł się rewizyi, wyrzucił naczelnika straży własnemi rękami za drzwi i w tem wysileniu apoplexya go uderzyła!

Kamil nic na to nie odpowiedział, tylko stanął osłupiały jak gdyby się w kamień zamienił. I znowu stali tam milcząc i patrząc na siebie wzajemnie przez chwilę, aż nareszcie zawołał Edmund:

— Ha! stało się! nie ma się już co nad tem namyślać! — i zerwawszy się z miejsca, przybiegł do Burki, mówiąc mu prędko:

— Proszęż cię, pobiegnij sam zaraz do stajni i każ mi założyć kasztanowate konie do małych sanek. Walenty niech spakuje trochę bielizny i sukien, ażeby mi na kilka dni wystarczyło a Wasylek niech sobie osiodła janczara i latarnię niech weźmie ze sobą, bo pojedzie przed saňmi.., muszę jeszcze przed północą być u nich! Te kobiety tam pomrą z bolu i umartwienia!

To rzekłszy, począł niespokojnemi krokami chodzić wzdłuż komnaty, wydając co chwila ze siebie jakiś okrzyk zdziwienia, niespokojności lub żalu. Kamil przez ten czas siedział przy kominie i ogrzewając przy jego płomieniach swoje członki zmrożone, wlepił zamyślone źrenice w jakiś sprzęt na przeciwko siebie stojący i zdawał się być ubezwładnionym zupełnie i nieruchomym.

Wkrótce potem przyniesiono wieczerzę, Edmund zaprosił swego gościa do stołu i starał się sam dać dobry przykład ze siebie. Atoli pomimo najlepszych chęci niemógł on nic przełknąć przez gardło, każdy kąsek stawał mu w ustach a oczy jego zapatrywały się w kąt jakiś odległy, jak gdyby umyślnie ustępywały z drogi tłumowi myśli, naciskających się do jego głowy. Kamil, chociaż tak bardzo zgłodniały, także jakoś nie mógł obudzić w sobie chętki do jadła i na filiżance herbaty poprzestał, milcząc równie zawzięcie jak jego gospodarz, — aż póki dzwonek od sanek nie dał się słyszeć przed gankiem.

Na odgłos dzwonka Edmund się zerwał od stołu i zawołał:

— A! już zajechał, — poczem ująwszy Kamila za rękę tak mówił: — przepraszam cię kochany Kamilu, że muszę cię samego zostawić, ale sam widzisz, że niepodobna mi jest tam nie pojechać. Spodziewam się, że mi tego nie weźmiesz za złe i usprawiedliwisz mnie w twojem dobrem sercu nawet natenczas, jeżeli tam dni kilka zabawię. Może to nawet i lepiej dla ciebie, bo w tej chwili, po takich trudach i przejściach, więcej ci zapewne dogodną będzie samotność i odpoczynek, niżeli moje towarzystwo. Zostawiam ci tu zresztą poczciwego Burkę, któren mnie we wszystkiem zastąpi. Jemu możesz się zwierzyć z każdą potrzebą i we wszystkiem zaufać. Cóż, kontent jesteś z tego, kochany Kamilu? — zapytał nakoniec z przyjacielską dobrocią Edmund.

— Bardzo ci za wszystko dziękuję, — odpowiedział na to z lodowatą obojętnością Kamil, — tę tylko ci muszę zrobić uwagę, że jeżeli dni kilka zabawisz, to mnie pewnie tutaj już nie zastaniesz.

— Jakto? — zapytał trochę tą uwagą na razie zdziwiony gospodarz.

— Nie masz się czemu dziwić, odrzucił na to tamten, — wszakże wiesz dobrze, że jestem ciągle jak ptak na gałęzi.... kto wie, jakie mogą zajść tymczasem wypadki?... a chociażby żadne nie zaszły, to ja już i tak w kraju siedzieć nie myślę. Mam już dosyć tej smutnej roli, jaką blisko od roku odgrywam i przekonałem się aż nadto dowodnie, że tutaj prócz zguby mojej nic nie wysiedzę.

A! to straszne są rzeczy! — rzekł na to rozczulając się i odchodząc od niego Edmund, — jeden krok lekkomyślny zamłodu, jakież to straszne pociąga za sobą skutki!... i to może na całe życie!... Ale prawda, prawda! nie ma co na to powiedzieć... ja się zgadzam z tobą zupełnie: niemasz tu co wysiadywać. Życie takie to niszczenie siebie moralnie i fizycznie.... żadnej przyszłości... i cały czas schodzi ci marnie. Ale proszę cię zawsze i zaklinam na wszystko, nie wyjeżdżaj stąd przed moim przyjazdem. Chyba żeby cię zmusiła do tego konieczność... bo doprawdy, sam nie wiem, co myśleć o tem... ej! sądzę przecież, że się tak prędko o tobie nie dowiedzą,.. a gdyby nawet, to tylko oddaj się Burce, on ci i na to poradzi...... Ale słuchaj mnie... jeżeli-byś musiał stąd wyjechać, nim ja powrócę, to nie odjeżdżaj-że nigdzie daleko, Burka

ci wynajdzie na pierwszy lepszym folwarku schronienie..... na wszelki jednak wypadek, ażebyś nie był niczem w wykonaniu twych chęci ograniczony, zostawiam ci klucz od mego biórka....... tam są pieniądze, weź wiele zechcesz...... żadnej mi tem różnicy nie zrobisz; owszem nawet, im więcej weźmiesz, tem większą mi sprawisz przyjemność... oddasz mi to kiedyś, jak ja znów z kolei będę czegoś potrzebował od ciebie... garderobą moją i zresztą wszystkiem rozporządaj sobie tu wedle swej woli... a teraz bywaj zdrów i jak mnie kochasz, nie odjeżdżaj ztąd przed moim powrotem..... powrócę jak najprędzej, choćby tylko na jedną godzinę. (C. d. n.)

WIERNIK.

(Ciąg dalszy).

Zwano go Daszkiem, i w onych czasach,
Kędy się zeszło bojarów grono,
Baśnie i dziwa o nim prawiono.
Jak zwierz się dziki błąkał po lasach,
Albo na dzikim hasał rumaku,
Kędy od wieków nie było szlaku,
Wreszcie jak czerniec w głuchym klasztorze,
W swym się zagrzebał ponurym dworze.
Ale gdy wezwał kniaź przez posłańców
Swoich rycerzy do krwawych tańców,
Wnet całą siłą w bój się gotowi;
Wykrył się z puszczy, i w rozhoworach
Prawił o dawnej sławie, zaborach,
Gromił już mową tysiące wrogów.
Każdy mu wierzył, bo jego ramię
Sławne jak Lacha na złotej bramie;
I cztery sotnie przywiódł kniaziowi. —
Ale gdy przyszło w step ruszyć z progów,
Został na straży spleśniałych murów,
Niewiast i dworskich motłochu ciurów.
Kniaź mógł zdać starszym straż swych pokojów,
A młode ramię lepsze do bojów.

Tak młody! zyskał już tyle sławy,
Może go lęka nowy bój krwawy? —
Nie, on się nigdy nie lękał boju;
Wszak, mówią, Daszko kniazia nakłonił,
Aby raz duszną stęchłość pokoju
Rozbił czynami, aby nie ronił
Reszty sił w młodej żony objęciu,
I wszystko wymógł na twardym księciu.

Jakby nie wymógł?! Na stare lata
Przywiózł mu taką prześliczną żonę,
Najkrasszą dziewę całego świata,
Liczko zorzane, oczy ztopione
Z blasku brylantów, z niebios błękitu, —
Swieżą, jak pierwszy promień rozświtu.

Ona gdzieś kwitła w dalekich krajach,
Jak złote jabłko w Hesperu gajach.
Daszko syt sławy w Rusi a młody,
Ruszył w daleki świat na przygody,
I gdy do drogiej stęsknił ojczyzny,
Przyniosł zaszczyty i mnogie blizny,
I wieść o Annie. Gdy w rozhoworze
O niej rozprawiał na kniazia dworze,
To kniaź, co potąd mnisze wiódł życie,
W poselstwie Daszka wyprawił skrycie;
Lecz domyślono się wnet powodu,
Bo kniaź skarb ruszył — dziwa, szkarłaty
Zza mórz sprowadził aż z Carogrodu,
I w nie ustroił puste komnaty.

Mówią, że Daszko, gdy skończył swaty,
I księciu w puste, złote komnaty
Przywiózł księżniczkę — a której cnota
I wdzięki droższe nad stosy złota,
I kiedy pośród ruskich cór grona,
Książęcym wieńcem opromieniona,
Błysła jak słońce między gwiazdami,
Których blask tylko w pomroce mami:
To w halach smutny błądził z początku,
I słowa snuły mu się bez wątku.
Choć go kniaź wdzięczny, nadmiar wesoły
Sadził śród kniaziów za pełne stoły,
Choć go tak dumny i tak wiekowy
Uczcił jak brata czynem i słowy:
Śród uczestników sławnej biesiady
Siedział jak widmo niemy i blady,
I kąsał usta.
Nagle — ocknięty
Łyskliwe oczy rzucił w te strony,
Gdzie morzem wrzała wesołość gości,
A kniaź, młodniejąc czarem miłości,
Omal nie klękał u nóg swej żony.
Zerwał się Daszko w napadzie szału,
Za pierś się lewą pochwycił ręką,
A prawą szukał dzierzan kinżału,
Lecz w myśli walczy z zazdrości męką,
Na rozejm puhar lał za puharem,
I czy rozognion Greków nektarem,
Czyli go porwał szał pjanych gości,
Prześcignął wszystkich w swej wesołości.

Lecz w Daszkowego krainie ducha,
Przeszły te gody, jak zawierucha,
Co zimnych lodów płaszczem zawali
Kurhan i pałac, wzgórza i doły,—
Zarówna wszystko w śnieżystej fali,
Gdzie niema echa na głos wesoły,
— Szaro lub sino wszędzie bez krańców,
Przepyszny salon dla burzy tańców,
I dumań wiecznej niemej rospaczy, —
Tak jednostajny, jak myśl tułaczy.

Przebrzmiały echa książęcych godów,
Naród powracał do zamków, grodów,
Kniaź upominek rozdał bogaty,
Na często prosił w swoje komnaty
Rycerzy. Ale swatu Daszkowi
Nieoszacowne dary gotowi,
Nie chciał go puścić z swego objęcia,
By został, płonna prośba i księcia,
Więc gdy odjeżdżał, wiódł go kniaź sam
Aż do zamkowych zewnętrznych bram.
Lecz Daszko w pierwszym już monasterze,
Wszystkie darunki oddał w ofierze.

Sam odtąd błąkał po stepach, borach,
Na dzikim koniu, jak wieść o zmorach,
Wreszcie się w zamku skrył, w towarzysze
Przyjął zadumę, samotność, ciszę.
Tam żył jak borsuk w jamie zimowej,
Nim go przebudził aż róg bojowy. (C. d. n.)

Z więzienia.

I.

(Dokończenie.)

Tak upłynął mi rok. On w prawdzie dosyłał mi tyle, żem nie głodowała i nie marzła, ale nie długo taić mogłam się z prawdziwem nazwiskiem mojem. A więc uciekać musiałam. Nie znałam miast bliższych, prócz Wiednia i tam się zwróciłam, i siadłam w Lińcu na statek parowy. Płynęliśmy po szmaragdowej fali Dunaju; a było to na wiosnę, w koło skały, wzgórza, gaje, doliny, kraj zamożny, wesołe echa piosnek i dzwonków trzód, kaplice, kościoły, wsie bieluchne.... Na statku poznałem się z męszczyzną, któregom pokochała, i jedynie kochała, hrabiego Eugeniusza X. duszą i ciałem Madziara, miłego w towarzystwie, czarującego mową i szlachetnością. Nie mówię, że mi nadskakiwał, że się zalecał. Nie! Ja kochałam go, nim mi oświadczył, że żyć bezemnie nie może, i przysięgał w obliczu starych grodzisk i ruin, które surowy cień swój rzucały na żwierciadlane lice Dunaju. Odkryłam mu moje prawdziwe nazwisko i familię. Cóż tu miałam czynić? We Wiedniu ukazać mu się nie mogłam, a więc wysiadłam przed Wiedniem, udając że mam kilka odwiedzin odbyć w okolicy. Chciałam po pięciogodzinnych najżywszych i najmilszych rozmowach, podczas których mi się oświadczył, próbować prawdziwości lub obłudy oświadczeń Eugeniusza. We Wiedniu zastałam listy od niego. Był przymuszony, pojechać do Preszburga, Pesztu i potem do dóbr swoich w głębi Węgier położonych. Błagał mię, abym z całą rodziną moją do Pesztu się zabrała, tam miało się odbyć nasze wesele. Udałam się tam sama, zastałam go już, tam mu opowiedziałam całe życie, o stosunkach moich wszystko, prócz o mej hańbie. Odkryłam ciotce stosunki moje do hrabiego, przyrzekła mi milczeć i sama do Eugeniusza pisała, a on przyjechał do Wiednia, widział wszystko, i ostatecznie oznaczył dzień zaślubin. Wyobraź sobie, jak drzałam wiedząc, że muszę mu kiedyś odkryć cały pobyt mój w owej mieścinie; wiedział wprawdzie, żem tam mieszkała, chwalił dobroć krewnych, którzy mię tam niby u siebie trzymali. Ale nie wiedział prawdy. Już wszystko było do wesela przygotowane, pojechałam dziecię oddać w troskliwe ręce, i zabierałam się do powrotu, ale los mi tego nie pozwolił. Dziecię moje jeszcze spało, gdy nagle słyszę jęk, wpadłam do niego, a ono wypadło z kołyski i zasiliło się w snureczek, i już było za póżno do ratunku. Oh gdy to piszę, serce mi drzy, niemogę dalej, świat jest zbiegowiskiem szatanów, aniołów wypędzono, szaleję. Gdybyś spojrzał mi w oczy o! to uzbroiłbyś rękę, stałbyś się olbrzymem i rozbiłbyś te mury. Uwolniłbyś mię, bo wolnam być powinna! O! ratunku....»

Zkamieniałem; koniec zyciorysu Emilii czytałem kilka razy, a zrozumieć go nie mogłem; krew we mnie wrzała; zdawało mi się, żem oszalał. Udusiłaż Emilia dziecię swoje? lub nie? Czy pragnęła okupić sobie tytuł hrabiny, a choćby zabójstwem swego dziecięcia? i tę okropną zbrodnię chciała zwalić na karb przypadku? Wiedziałem, że albo okropny przypadek i zbieg okoliczności niewytłumaczony, Emilię na dwudziestoletnie więzienie skazały, albo... Już nie byłem zdolny do myślenia.

Wtem usłyszałem echo kroków na dziedzińcu. Nadszedł profos, a przy nim Emilia, w sukience białej, i w owej zielonej chusteczce, którą sobie jak madona na głowie owijała. Kilka minut szła owym czarującym krokiem swoim, potem stanęła naprzeciwko mego okna, i przypadkowo może, wzniosła oczy ku niebu, błękitne, pełne serdeczności, jakoby modliła się.

— Takich błękitnych, niewinnych oczu, zbrodnia nie ma,—krzyknąłem w uniesieniu, głośno, jak gdybym pragnął by mię słyszała.

Tak stałem długo w zachwyceniu; nagle ktoś mię uderzył po ramieniu:

— Przyjacielu! ocknij się. Czytałeś podróże Thümmla?

— Alboż co? — spytałem zdziwiony.

— W złą porę przyszedłem do ciebie, ale słuchaj mię na chwilkę, odpowiedział mi, lekko uśmiechając się. Oto Thümmel pisze tak: «Anno Domini 1726 wydał Dr. Johanes, Bartholomaeus Adamus Beringerus, radca i hofmedyk księcia biskupa Wirzburgskiego &ct. &ct. głęboko uczone dzieło o najrzadszych skamieniałościach, które gdzieś tam z kamieniołomu koło Würzburga był wydostał. Na końcu tego bardzo głęboko uczonego dzieła przyznaje się autor, przedpotopowy jakiś poczciwiec, że w całym tym traktacie niema prawdy ani na jotę. Któryś jego kolega, filut, wszystkie owe skamieniałości kazał wyciosać kamieniarzowi, i zagrzebać za miejscu, kędy Dr. Joannes Bartholomaeus Adamus archeologiczne i geologiczne poszukiwania robił. Poczciwy uczony nie dowiedział się o żarcie swego kolegi aż wtedy, gdy rozprawę swoją ukończył i prawie całkiem już był wydrukował. Żal mu się zrobiło foliantów swoich, daremnie spisanych, i nie pozostawało mu nic, jak tylko przyznać się na końcu, jak ohydnym sposobem go oszukano.»

— Jak to? co to? — zawołałem bezmyślnie, a mój kolega z najzimniejszą flegmą ciągnął dalej swoje:

— Otóż to opowiada nam Thümmel w pierwszym tomie swoich podróży na dowód, że i najtęższe głowy podejść można, i Thümmlowi coś podobnego się wydarzyło i dał mi sposobność, że przechodząc do końca i celu mo-

jej gadaniny, przytoczyć mogę ci przykład uczonego doktora i dowcipnego pisarza.

— I cóż ma to wszystko znaczyć? ciągle jeszcze jak odurzony pytałem. Wtem powstał jakiś szalony śmiech w pobliżu. Była to właśnie pora, o której zwykle wszytkie drzwi jednego kurytarza otwierano, i więźnie ze sobą rozmawiać mogli. Kochany mój sąsiad, oryginał i wielki filut, sprowadził na mnie całą hurmę kolegów, aby na mój koszt się uśmiali.

Opowiadanie jego flegmatyczne ostudziło mię trochę, począłem czegoś się domyśliwać, i runąłem nagle z obłoków na prozaiczną ziemię. Spokojnie wydobywał świstek po świstku z kieszeni i do oczu mi je przrzysunął. Były to listy i wiersze moje do Emilii, ani jednego nie brakło. Na swoją i kolegów pociechę on to sam korespondowoł ze mną. Nu, cóż było robić, przebyłem frycówkę forteczną.

Kochany czytelniku! nie gniewaj się na mnie, że i ja ciebie oszukałem tą powiastką, która cię może zająć potrafiła, i niecierpliwie końca czekałeś. Mnie oszukano, a ja oszukuję ciebie, jak dziecię, które na fryca wystrychnięto, mści się tym sposobem, że innych w pole wywodzi. Pomścij się i ty równie, szanowny czytelniku!

Tak spadłszy nagle z obłoków na ziemię zawstydziłem się okropnie. Runęły moje doświadczenia psychologiczne, okryłem się śmiesznością i złość we mnie zakipiała.

— Weźcie go, trzymajcie, — krzyknął żartobliwie mój sąsiad do towarzyszów, gdy ocknąwszy się z osłupienia na niego przypaść chciałem, trzymajcie go. Niech słucha spokojnie, a potem pojedna się ze mną. Cóż ty myślisz sobie, żebym dopuścił, aby nam jeszcze więcej obostrzono więzienie, dla dogodzenia fantazyi twojej? To pismo sznurkowe znamy wszyscy i dałeś się złowić w sidła. Szczęście, żem pierwszy dostał Ardent Troughtona w ręce, nim na pierwsze piętro dojść mógł. Zaraz poznałem, że chciałbyś wejść w korespondencyą, któraby tak łatwo wydać się a nas w najbrzydszą kałużę i biedę wpakować była mogła. Więc chciałem ukarać cię za twoją lekkomyślność. Jakoś to z profosem już tak zarządziłem, że wszystkie książki zawsze zaraz po tobie do mnie przychodziły, i tak zawiązała się korrespondencya nasza. A już to djablej męki sobie zadawałem, aby kobiece pismo aż do błędów ortograficznych udać.

— Ależ ta spowiedź w ostatnim liście? spytałem spuściwszy na kwintę.

— Jest prawdziwa. Ta piękna, fałszywa kobieta udusiła własne dziecię, aby zostać hrabiną. Dowiedziono jej zbrodnię, i tylko dla tego nie poszła na gałęź, jak zasłużyła, iż biedne kilkomiesięczne maleństwo jakoś wróciło do życia i aż w kilka tygodni umarło. No, aleś palnął przynajmniej kilka dość ładnych wierszyków. Żałuję tylko jeszcze, żem nie zaczekał, aż byś się formalnie oswiadczył, i wyruszył z konceptem uprowadzenia jej z fortecy.

Dąsałem się z początku. ale w krótce sam ze siebie naśmiałem się z biednymi kolegami moimi.

Mój sąsiad opowiedział prawdziwą historyę Emilii. Moje przypuszczenie, jakoby rząd austryacki mógł niewinną kobietę na lat dwadzieścia zamknąć w kazamatach, było więc zupełnie płonne. Po kilku miesięcach opuściłem fortecę. Romantyczny epizod mój z Emilią był nię ostatniem złudzeniem, z którego przejrzałem.

Listy gospodarskie, IV.

(Dokończenie.)

Szkoła rolnicza w Marymoncie, w Altenburgu, w Tarandzie, w Hohenheimie, w Grignon, w Wersalu, w Sair nchester są powszechnie cenione. PP. Zdzitowiecki, Pabst, Weckerlin, Bela i t. d. zyskali zaufanie rządu, odpowiedzieli swemu powołaniu najzaszczytniej i z największą wdzięcznością uczniów i kraju, w którym są dyrektorami. Panowie ci jednak nie byli-by podług tego obrazem doskonałości, jakiej autor listów gospodarza wiejskiego żąda od dyrektora dla Dublan. Przywłaszczenie sobie jednej nauki zarówno teoretycznie jak i w zastósowaniu jej do rolnictwa, jako widzimy na panu Pepłowskim, który jest chemikiem i rolnikiem zarazem, wymaga kilkunastu lat najusilniejszego poświęcenia się tej nauce. Wieleż lat lub jakiego geniuszu potrzeba, chcąc objąć i przywłaszczyć sobie dzisiejszą massę wiedzy, zawartej w teoryi i w zastósowaniu wszystkich nauk przyrodzonych i kilku jeszcze matematycznych, którą to massę wiedzy żąda autor listów od samego dyrektora! Prócz posiadania ścisłych umiejętności, jest się jeszcze obywatelem kraju i członkiem, więc do nabycia i tej wiedzy, jaka jest potrzebna każdemu, trzebaby czasu i środków. Podobne żądanie równa się lekceważeniu imion, które ze czcią tylko wymawiać zwykli miłośnicy nauk, bo takimi uczonymi byli tylko Kopernik, Roger Bakon, Newton, Cavendish, Aleksander Humbold, Franciszek Arago i nie wiele innych.

PP. Pepłowski i Żelkowski są męże, którymi kraj nasz może się szczycić. Czy możemy powiedzieć, że Dublany mając pp. Pepłowskiego i Żelkowskiego nie będą potrzebowały uczniów takich, którzyby byli w stanie korzystać całkowicie z nauki tak doskonałych profesorów? Czy mają Dublany dostateczne dochody, aby mogły rozwinąć szkołę odpowiednio takiemu dyrektorowi i profesorowi, a zatem podobnie jak szkoła w Grignon? Jeżeli wreszcie nie zdołają Dublany zyskać tych panów,—niemaż już mniej wprawdzie uczonych w kraju, ale takich, których komitet poznał jako doświadczonych w krajowem gospodarstwie wiejskiem, a zarazem tak ukształconych, że potrafią ocenić zdolność profesora i obowiązki jego, i dać mu radę, jak

ma wykładać rolnictwo i gospodarstwo oparte na naukach przyrodzonych i matematycznych?

Wziąwszy bowiem pod uwagę, jakie ma środki przyszła szkoła w Dublanach, i kto w niej uczyć się będzie, przekonamy się, że w braku arcyuczonego dyrektora i profesora może odpowiedzieć celowi, gdy jeden jak drugi będzie teoretycznym i praktycznym rolnikiem, a ostatni prócz tego specyalnie obeznanym z wszystkiemi częściami nauk przyrodzonych, ile się na nich opiera rolnictwo krajowe.

Szkoła rolnicza w Dublanach niema muzeów ani zbiorów ani laboratoryum chemicznego, ani jest w stanie mieć je, aby mogła rozszerzać się na polu teoretycznem nauk przyrodzonych lub matematycznych. Szkoła w Dublanach może najwięcej dać początki rolnictwa i rolniczego przemysłu, a w szczególe być wzorem gospodarowania dla okolic sobie podobnych. W końcu będzie szkoła ta arcypożyteczną dla kraju, gdy zdoła wydać corocznie kilku uzdolnionych ekonomów i gospodarzy niższego rzędu. Kraj nasz nie należy do tych, które postąpiły daleko w przemyśle jakimkolwiek, ta mała zatem ilość gospodarzy wiejskich, którzy chcą i potrzebują wyższego rolniczego ukształcenia, uda się zawsze do szkół dawnych zamożnych i zagranicznych. Wszystkie zaś gospodarstwa potrzebują pomocników obeznanych z rolnictwem i tę przeto potrzebę nadewszystko uwzględnić wypada. Powtarzam zatem, że jakkolwiek podzielam z autorem listów gospodarza wiejskiego zdanie, że panowie Żelkowski, Pepłowski i Kapczyński, są arcyzdolni i godni posad w Dublanach, tak przecież wyznać muszę, że w mniej szczęśliwym razie wyboru nie wątpię o takiej skuteczności szkoły rolniczej w Dublanach, jakiej można spodziewać się od jednej małym dochodem uposażonej szkoły. J. B. R.

O widowiskach w Krakowie w 1853 roku.

(Ciąg dalszy.)

Co do baletu. Od teatru polskiego i niemieckiego przechodzim do tanecznic i baletu. Baletu właściwego mimicznego nie mieliśmy, widzieliśmy tylko tańce.

I najpierw: przy pierwszych popisach operzystów Nachtigala, wystąpiły w tańcach panny Valesca, Nachtigal i Polentina, później zwabiały trzy gościnne występy pp. Brue solo-tancerzy teatru berlińskiego. Ci tancerze występywali w r. 1847 w październiku w Krakowie siedm razy. W operze Cyganka tańczyły dwie chórzystki: Müller i Richter.

Najcelniejszym jednak był balet pod dyrekcyą Franc. Weissa, który lubo z 38. tanecznic złożony, jednak w nim 15. z nich popisywało się w solo, dwu i trój tańcach, mianowicie panny: Marya Meriak, Ludwika Malossy, Marya Elwin, Mina Opitz, Anna Freisinger, Róża Wagner, Marya Kapper, Róża Schembera, Leontyna Dobrauer, Leontyna Gassner, Berta Maler, Marya Fuchs, Kolleri Adela Titzia pięcioletnia.

Również Franciszek Weiss w solo tańcach występował. Główne tańce wykonywano te: El ole, Wyżynek (żniwiarze), Pas des fleurs, Czardasz, Chińskie tańce i inne narodowe. Uwagę tu robimy że polones i krakowiak nie odznaczały się ani prawdziwością tańca, ani wiernością ubioru, ani wymaganą melodią muzyki.

Mimo, iż te tańce nie odpowiadały swym nazwom, jednak inne wykonywane były z precyzyą i ładem. Prócz baletu pani Weiss, popisywało się w Krakowie w ciągu 3. lat ostatnich wiele trup baletniczych, mianowicie celniejsze: Aniołów, Bernadellich, Kogena, Fortnera, Koblerów, Karola Price, Rosettego Dominika i t. d. ale żadna nie była tak liczną, choć niejedna równoważne zalety posiadała.

Mówiąc o widowiskach na teatrze dawanych, niemożem pominąć milczeniem teatru miłośników, odegranego w kwietniu, na którym przedstawiono komedyą: *Narzeczone* i *Zrzędność i przekora*, a mimo że w ostatniej role stryjów przeobrażono na rolę ciotek, sztuka nie straciła na tem, bo odegranie jej nie pozostawiło wiele do życzenia. Teatr ten ozdobiły dwa obrazy: Spotkanie się *Rebeki z Eleazarem* i *księżna Chateauroux w odwiedzinach u wróżki.* W komedyach wystąpiło 11 osób a w obrazach przeszło 20.

Cyrk. Wiodąc rzecz o towarzystwach zbiorowych przychodzimy do przedstawień jeźdźców konnych pod dyrekcyą Emanuela Beranka, którego żona występowała jednocześnie w Wiedniu w Cyrku E. Gileta. Bywały w Krakowie cyrki niejednokrotnie, jako to Antenora Marteau w r. 1834, Tourniairów w roku 1836, J. Abenda w roku 1837, Emanuela Beranka w roku 1839, Elizy Tourniairowej i Antoniego Lebharda w roku 1841 i J. Robby'ego w roku 1842; ale żadna (prócz Tourniairowej kompanii) nie dorównała liczbą kompanii właściciela cyrku Beranka. Zresztą sztuki jeźdźców były też same obecnie wykonywane co i dawniej, tylko może z mniejszem urozmaiceniem i z mniejszą biegłością pod względem siły i gimnastyki. Pantomimy odgrywano też same w roku 1841. w cyrku Liebharda, tylko niedbalej, nawet na wzór Liebbarda puszczono konia na loteryą. Zapowiedział Beranek przyjazd swój w 50 osób i 60 koni, ale pierwszych było tylko 13 grających, zaś 17 nieczynnych figurantów, a koni około 40.

Czynni jeźdźcy byli: Glückswerth gimnastyk, Gauthier Henryk mały, Capite Feliks ujeżdżacz, Walter Urban trefniś i atleta, Wenzlof Ludwik, Winkler Antoni, Conradi Feliks mały, Hanauszek Józef mały, i gimnastycy: Abdulmilli, Wandriszek Józef, Wandriszek Edw. syn. Panny: Jankowska Józefina, Persiwal Olimpia (Teresa), Gautier Róża, Smolińska Marya. Panie Wandriszek Marya, Winkler Marya.

Nadto figuranci: Rinesch tancerz, Schlosser, Bernard, Jakobczak, Julius, Römer, Luis, Jean, Prize. Figurantki: panny Hajek, Ludmiłła, Bajer, Milly.

Trupa ta celowała nad inne dobrze ujeżdżonemi końmi, z których 9 głównie popisywało się pod przewództwem F. Capitego. Niektóre osoby jako to: Walter, Wandriszkowie, Gautierowie, znani byli publiczności z dawniejszych pojedynczych występów na scenie w popisach akrobatycznych. (D. n.)

Rozmaitość.

* **Sławny żarłok.** W połowie ośmnastego wieku żył w Lotaryngii sławny żarłok bobu *Claudon,* postaci olbrzymiej, dzikich obyczajów i niedźwiedziej siły. Apetyt jego rujnował mu familię, ale i osławił go po całej Lotaryngii; dowiedział się o nim nawet król Stanisław, mieszkający natenczas w Luneville. Chciał na własne oczy zobaczyć to niepospolite zjawisko, i dnia 2. lipca 1751 musiał się Claudon stawić przed oblicze ulubionego księcia i króla. Stanisław miał wtedy na dworze swoim dwóch sławnych ludzi, karła *Ferry Bébé* i olbrzyma *Lamberta,* który był wysoki na siedm stóp, i chwalił się, że nie ma w świecie silniejszego nad niego. Dworzanie chcieli króla i siebie ubawić, namówili go więc, aby olbrzym i żarłok na siły się wzięli. Przystali oni oba na to, ale dworzanie niedługo mieli pociechę patrzenia na ich walkę, bo wnet po pierwszych razach

padł Lambert z połamanem ziobrem. Pytał się król silnego żarłoka, co chce w nagrodę, a rycerz lotaryngski prosił tylko o trzy wory bobu. Stanisław uśmiechnął się i przystał, i kazał mu oraz te trzy wory aż przed chatę jego zawieść, ale olbrzym podziękował, prosił tylko, aby mu je na plecy zadano, i puścił się wesoło do domu, otoczony ciekawemi i zdziwionemi tłumami. Ale przybywszy do Hermomenil, nagabnęła go zgryzota sumienia. «Król, — mówił on do siebie, darował mi bób, ale czy i wory?« Więc wrócił się nazad do Luneville i stawił się z ładunkiem swoim przed królem i poskrobał się w głowę. «A widzisz, ujrzawszy go z worami, przemówił Stanisław, — za nadto ufałeś w swoje siły; no, no no, zaraz każę ci wóz zaprzęgnąć». «Za przeproszeniem W. K. Mości, odrzekł Claudon, nie molestuje go o pomoc, tylko wróciłem się, z zapytaniom, czy W. Kr. Mość i wory mi darować raczyła?» «A juści» odpowiedział król, z dworzanami kładąc się od śmiechu. Dopiero z czystem sumieniem wrócił Claudon do domu, i w przeciągu trzech tygodni spożył te 6 cetnarów bobu. Raz się założył że zje 20. funtowego łososia, i wygrał zakład, w pół godziny ani ości nie zostawił. Ale założywszy się znowu o spożycie barana, znów byłby wygrał, gdyby nie stanęła mu kość w gardle, której wydobyć nie było można. Czy komu co dobrego z olbrzymiej jego siły i żarłoczności przybyło, niewiedzieć; szkoda, że o kilka lat przódy nie żył za czasów Fryderyka Wilhelma I. pruskiego, który pieniądze, tracone przez innych na faworytów, faworytki i szalone festyny, obracał na zakupienie tęgich chłopów do wojska, których sobie po tysiącu, najczęściej z Rossyi od Piotra W. zapisywał.

* **Szybkość angielskich kolei żelaznych** jest do zadziwienia, jak mieliśmy niedawno przykład podczas ostatniej podróży królowej Wiktoryi, gdyż przestrzeń z Londynu do Peterborough, długą na $9\frac{1}{2}$ mili, w jednej godzinie i 22 minutach przejechała. A przecie mówią, że nadzwyczajna ta w Europie szybkość jest zwykłą na kolejach Zjednoczonych Stanów Ameryki.

* Po wszystkich gazetach piszą o okropnem zabójstwie, popełnionem niedawno w Sassari w Sardynii. Oficer sardyński z 6. pułku pieszego, zakochał się w pewnej młodej i pięknej panience, i prosił rodziców o jej rękę. Ale ci żadną miarą zezwolić nie chcieli. Namiętna miłość oficera rozpaliła się do tego stopnia szału, że kochankę i jej rodzinę zagładzić postanowił. Z czteroma podwójnymi pistoletami udał się do ich pomieszkania, zabił matkę, córkę, wuja, ojca, pokojówkę i nakoniec siebie.

* Dziś na cześć Imienin Najśn. Pana wielkie przedstawienie przy oświetleniu całego teatru.

* Jutro dnia 4. Października w sam dzień Imienia w wielki paradzie występ całej załogi i wielka msza w archykatedralnym kościele kompozycyj Schnabla.

* Piszą z Krakowa, iż jenerał byłych wójsk polskich, Chłopicki tamże umarł.

Znaczenie poprzedniej szarady: **Sebastopol.**

Szarady przez T.

1. Jako rzeka, zawsze płynę,
Moskale mnie dawniej znali,
Jako źwierzę, nim zaginę,
Zawsze zamykają,
Choć w niewoli, mnie częstują, bo im o to chodzi,
Że po śmierci spadek ze mnie to im wynadgrodzi.

2. Kto ma czucie, dowiedzie me pierwsze i drugie,
Trzecie twarz zdobi, jeśli jest foremne,
Czwarta sylaba, wszystko, na zasługi,
Przez swoje pisma, tak dla nas przyjemne.

Przyjechali od dnia 27. do 28. sierpnia do Lwowa:

PP. Szlachtowski Jan, ze Złoczowa. Kriegshaber Alojzy z Kabarowiec. Nikorowicz Karol z Przemyśla. Augustynowicz Zygmunt, z Krakowa. Jaworski Mikołaj, z Sokołówki. Biliński Onufry, z Stryja. Vivien Wincenty, z Wysocka.

PP. Lanckoroński Stanisław, hr. z Rozdołu. Gizowski Jan, z Komarna. Sozański Celestyn, z Błażowa. Dąbski Aleksander, z Nosówki. Olszewski Tyburcy, z Bazaru.

PP. Szczepański Władysław, z Wiszniowczyka. Karasiński Antoni, z Brzeżan. Borowski Ludwik, z Krowni. Bętkowski Leon, z Przemyśla. Engel Michał, z Milczyc. Orłowski Felix, z Zagrobeli. Strzelecki Eugeniusz, z Wyrowa. Bystrzanowski Leopold, z Makoniowa. Lewicki Józef, z Bonowa. Dąbczański Antoni, z Wiednia. Towarnicki Michał, z Topolnicy. Puzdrowski Józef, z Biskowiec.

Wyjechali od dnia 27. do 28. sierpnia ze Lwowa:

PP. Komorowski Franciszek hr., do Łuczyc. Obmiński Jan, z Hussakowa. Karnicki Felix hr., do Rogóźna.

PP. Siemiński Konstanty, hr. do Krakowa. Szczepański Mieczysław, do Czajkowic. Dzieduszycki Aleksander, hr. do Izydorówki. Strzelecki Krystyan, do Płuhowa.

PP. Wojnarowski Antoni, do Stryja. Niezabitowski Wincenty, do Płuhowa. Lipiński Karol, do Urlowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 2. b. m. o g. 2 popołud.

Amszterdam.	$96\frac{1}{2}$.	Medyolan za 300 lirów	114.
Augsburg za 100 złr.	$116\frac{3}{4}$.	Paryż za 300 franków	136
Bukareszt	—.	Agio duk. ces.	—
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$115\frac{5}{8}$.	Srebra agio	16
		Pożyczka 5% $85\frac{1}{2}$.	$4\frac{1}{2}$ $74\frac{1}{16}$.
Genua.	—.	Pożyczka lit. B. . . .	—
Hamburg za 100 tal. banco.	$85\frac{3}{8}$.	Akcye banku . . .	—
Konstantynopol	—.	Kolej północna . . .	$1736\frac{1}{4}$.
Liwurno.	—.	Obl. ind.	—
Londyn za 1 funt szterl.	11. 17.	Nowa pożyczka z loteryą	$98\frac{1}{2}$.
Marsylia			

Dzisiejszy. Kurs lwowski.

		Gotowką			towarem.		
Dukat holenderski	złr.	5	kr. 25	złr.	5	kr.	30.
Dukat cesarski	„	5	„ 31	„	5	„	35.
Półimperyał zł. rosyjski	„	9	„ 32	„	9	„	36.
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„ 50	„	1	„	51.
Talar pruski	„	1	„ 45	„	1	„	47.
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„ 20	„	1	„	21.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. .	„	86	„ 5	„	86	„	40.

Obligacye indemnizacyjne 74 — do 74 Złr. 30 kr.

Lwów 2. Październ. — Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 28 złr. — kr. do 30 złr. 30 kr. — Żyta po 20 złr. 30 kr. do 22 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 14 złr. — kr. do 16 złr. 15 kr. Grochu po 24 złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 15 złr. — kr. do 18 złr. — kr. — Ziemniaków po 8 złr. — do 8 złr. 45 kr. Sąg drzewa bukowego 27 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po 23 złr. 30 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 2 złr. 22 kr. do 2 złr. 30. kr. Centnar słomy 2 złr. 5 kr. do 2 złr. 23. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity 1 Złr. 59 kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**